ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
„DZIENNIKA ZACHODNIEGO"

Katowice, 29 sierpnia 1948 - Rok III
Nr 34

W królestwie motyli

W oczach prof. Janusza Jarosiewicza zapalają się błyski rozradowania, kiedy „referuję" cel mojej wizyty.

— Chce pan obejrzeć moją kolekcję? Ależ proszę bardzo...

Niski, mocno szpakowaty pan, ożywia się wyraźnie, odmykając drzwi zamkniętego na klucz pokoju.

— Tylko przepraszam za bałagan — usprawiedliwia się z góry — ale nie mam się gdzie pomieścić z moimi pupilami.

Bałagan jest rzeczywiście „nie lichy", ale cztery ściany niezbyt wielkiego pokoju są zbyt ciasne na pomieszczenie tak poważnego zbioru. Czarne i czerwone pudełka wyglądają z szaf stojących przy ścianie, czarne i czerwone pudełka piętrzą się na wielkim stole i na podłodze obok szkiców i płócien, tub z farbami olejnymi, pędzlami i ram.

Tu mieści się królestwo prof. Janusza Jarosiewicza, lwowianina z urodzenia, artysty-malarza z zawodu, a lepidopterologa (taaak!) z zamiłowania i sumiennych studiów.

Tu, w samym centrum Bytomia, przy ul. Sądowej, mieści się barwne królestwo wielkiej rodziny motyli określanej zbiorowo naukową nazwą lepidoptera.

Kolekcja jakich mało

Profesor jest repatriantem ze Lwowa. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych, był współpracownikiem lwowskiej Akademii Nauk i profesorem rysunków w gimnazjum w Brzeżanach.

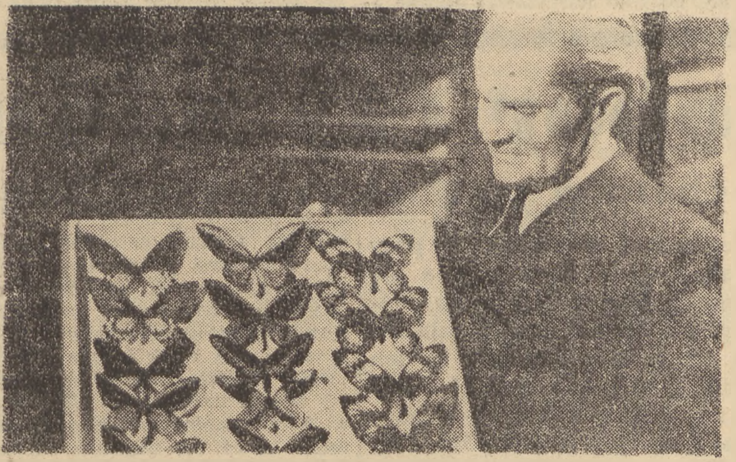
Repatriowany ze Lwowa z końcem 45 roku, osiedlił się w Bytomiu i wyremontowawszy własnoręcznie zajmowane obecnie mieszkanie, pomieścił w nim przywiezione ze Lwowa kilkaset gablotek z około 20.000 motyli i pokaźną kolekcję własnych obrazów.

Profesor Jarosiewicz żyje bardzo skromnie, oddany malarstwu i motylom i dlatego mało kto słyszał o jego kolekcji, z którą warto się zapoznać, jako że jest ona największą i bodajże najciekawszą w całej Polsce, gdyż obejmuje nie tylko wielką ilość gatunków motyli i ciem, ale i najrzadsze ich odmiany, przede wszystkim krajowe.

— Kiedy pan profesor poczuł „słabość" do motyli? — zapytujemy.

— Dwadzieścia cztery lata temu, bo w roku 1924. Od tego czasu z siatką na motyle przewędrowałem spory kawał świata, a przede wszystkim całą prawie Polskę wszerz i wzdłuż, na rowerze i na piechotę — jak się dało. Lepidopterologia porwała mnie zupełnie, bo warto się nią zająć. Proszę popatrzeć...

Profesor poczyna otwierać oszklone gablotki, jedną po drugiej. Z pudełek bije tęcza najpiękniejszych kolorów i najsubtelniejszych odcieni. Motyle malutkie jak muchy i wielkie jak dłoń o różnokształtnych skrzydełkach, oszałamiających fantastycznym doborem opalizujących barw, lub zaskakujących pokutniczą skromnością.



Prof. Jarosiewicz z gablotą zawierającą egzotyczne okazy z dorzecza Amazonki (Ameryka Południowa). Pierwszy motyl w środkowym rzędzie — to Ornitopera Lydias — najcenniejszy okaz zbiorów, szacowany na kilkadziesiąt tysięcy zł.

Wszystkie okazy pięknie poumieszczane na szpilkach, uszeregowane gatunkami, zaopatrzone w karteczki z dziwacznymi łacińskimi nazwami.



Prof. Janusz Jarosiewicz w swej pracowni. Jego zbiory liczą ponad 20.000 motyli, przeważnie krajowych, a ich wielka wartość polega na ogromnej ilości usystematyzowanych odmian. W kolekcji jest około 100 sztuk unikatów i form aberatywnych, jak obojniaki, albinosy itp. nieznane dotąd nauce.

Profesor wybiera tylko gablotki z najciekawszymi okazami, aby bowiem obejrzeć przynajmniej pobieżnie wszystkie zgromadzone w jego zbiorach egzemplarze potrzeba by kilku dni.

To jednak, co widzimy, to bajecznie kolorowa rewia motyli i ciem z całego prawie świata. Od naszego najbardziej pospolitego, poczciwego Bielinka kapustnika (którego kilkaset odmian zgromadził w swej kolekcji prof. Jarosiewicz), aż do osobliwego, wielkoskrzydłowego motyla egzotycznego o dźwięcznej nazwie Calligo.

Motyl udaje... sowę

— Niech pan mi powie, co to jest? — zapytuje profesor, pokazując mi z pewnej odległości kolorowy rysunek.

— Sowa — odpowiadam bez namysłu.

— Właśnie. A teraz niech jej się pan przyjrzy bliżej.

Patrzę i dopiero teraz z bliska spostrzegam, że narysowana sowa ma w miejscu głowy przypiętego — dużego motyla, którego górne skrzydła imitują do złudzenia sowie uszy, a dolne noszą wspaniałe sowie oczy. Same skrzydła są również sowiej „maści".

— To jest właśnie Calligo. Złowiłem go w puszczy nad Amazonką. Duży motyl, siedząc na drzewie, podobny jest łudząco do sowiej głowy. Odstrasza on w ten sposób zagrażające mu ptaki. Nie jest to zresztą jedyny wypadek naśladownictwa wśród motyli, czyli tzw. „mimikry".

Oglądamy okazy przypominające barwą i kształtem skrzydeł liście roślin, na których zwykłe siadać, widzimy ćmy ze skrzydłami zlewającymi się idealnie z kolorem kory drzew, na których w dzień przebywają.

Hermafrodyty i albinosy

— A proszę spojrzeć tutaj.

Profesor pokazuje nam gablotkę, w której widnieją dziwne okazy motyli. Jedne wyglądają jak kaleki, gdyż mają jedną połowę skrzydeł mniejszą od drugiej, albo też o różnym kształcie, inne przypominają filatelistyczne „błędnodruki", gdyż połowy ich skrzydeł różnią się barwą.

— Dziwne, prawda? — uśmiecha się profesor — To są motyle obojniaki, czyli hermafrodyty, łączące w sobie cechy męskie i żeńskie. Stąd u nich jedna połowa skrzydeł należy do samca, druga jest charakterystyczna kształtem i kolorem dla samicy. Stąd u nich również często podwójne czułki męskie i żeńskie, a pod mikroskopem stwierdzić można, że osobnik o zewnętrznych cechach żeńskich ma męski organ kopulacyjny i odwrotnie.



Wielki motyl Calligo, mieszkaniec puszcz nad Amazonką, przyczepiony do narysowanego tułowia sowy, naśladuje do złudzenia głowę tego nocnego drapieżnika

Zdjęcia: H. Makarewiczowa

Jednym słowem i wśród motyli spotyka się Smętki i Koubkowe...

Oglądamy jeszcze albinosy — osobniki o zupełnie prawie odbarwionych skrzydłach, obok swych rodzonych bajecznie kolorowych braci.

Profesor Jarosiewicz potrafi mówić o swoich pupilach bardzo interesująco i żywo. Łowił motyle wszędzie, gdzie się dało, ostatnio zaś jego kolekcja zwiększyła się o znaczną liczbę okazów z okolic Bytomia. Łowi nieustannie od 24 lat, studiuje życie motyli, segreguje i umieszcza w zbiorach, bada pod mikroskopem, rysuje i przygotowuje do druku kilka prac naukowych.

— Tkwię w tym cały i nie mogę się od tego oderwać — zwierza się na koniec. — Po mojej śmierci zbiór ten przypadnie Akademii Nauk.

Pod oknami mieszkania dzwoni przyjeżdżająca z Katowic „Szóstka". Z królestwa tęczobarwnych motyli wpadamy w szarość ulic Bytomia.

KILIAN BYTOMSKI



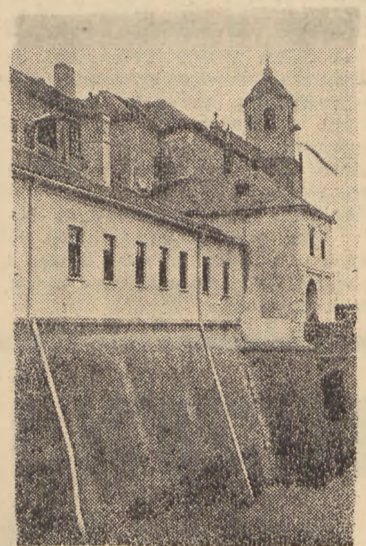
Gablota ze wspaniałymi okazami motyli Morpha, których skrzydełka posiadają cudowny metaliczny połysk, zmieniający kolor w zależności od oświetlenia

Juliusz Niekrasz

»Rzeczpospolita grajgórska«

Bohaterzy Wiosny Ludów na Szpilbergu

Szpilberg. Któremu z Polaków obcą jest ta nazwa, która kiedyś, podobnie jak za naszych czasów Oświęcim, wzbudzała



Zamek Szpilberg, którego kazamaty mogą opowiedzieć o setkach zamęczonych więźniów.

dreszcz zgrozy, wywołując jednocześnie uczucie buntu przeciwko tyranii i łamaniu podstawowych praw człowieka? W kazamatach szpilberskich więził rząd austriacki nieprzejednanych przeciwników absolutyzmu i przywódców tajnych stowarzyszeń, skupiających w rozległej monarchii habsburskiej najlepszych patriotów polskich, włoskich, węgierskich i czeskich.

Jako więzienie stanu, Szpilberg miał stare i bogate tradycje. Zbudowany obok Brna na Morawach był początkowo zamkiem obronnym, a nawet rezydencją królewską, zwłaszcza za króla czeskiego Władysława Jagiellończyka, który w tym zamku najchętniej przebywał. Po klęsce Czechów pod Białą Górą w roku 1621 zgasła świetność zamku, który z rezydencji królów czeskich, a później książąt berneńskich i margrabiów morawskich zamieniony został przez Habsburgów na jedno z najstraszniejszych więzień w Europie.

Jeszcze dzisiaj oglądać można zionące przejmującym chłodem i cuchnące piwnicznym zapachem kazamaty szpilberskie, biegnące wzdłuż korytarzy, tzw. „traktów", które od imion cesarzy noszą nazwy „józefiński" i „leopoldyński". W jednej z przyległych do nich cel zachowała się zwisająca z pułapu zardzewiała rurka. Przewodnik, oprowadzając zwiedzających opowiada, że w tej celi osadzony był więzień, który dokonał zamachu na marszałka dworu i po przykuciu go do ściany został pozbawiony życia przez powolne sączenie na jego głowę kropel wody.

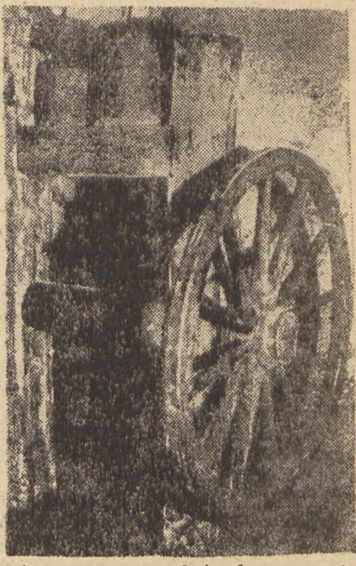
Dreszcze zgrozy wywołują te szeregi kazamat, z których każda ma swą historię, każda była świadkiem bezgranicznych cierpień i tak wiele mogłaby opowiedzieć o niezłomności i bohaterstwie duszy ludzkiej u jednych, a nikczemności u drugich.

Specjalną kartę historii Szpilberga otwiera okres Wiosny Ludów.

W roku 1847 zarząd więzienia otrzymał polecenie rozszerzenia pomieszczeń wobec mających nadejść transportów rewolucjonistów polskich (zur Unterbringung von revolutionaeren Polen). W tym też czasie, jak podaje historyk Szpilberga — Costa — Roselli przystąpiono śpiesznie do budowy nowego 2-piętrowego pawilonu więziennego i utworzono specjalny oddział dla Polaków, zwany „galizische Abteilung".

Pierwszy zbiorowy transport więźniów polskich w liczbie 150 osób nadszedł w lipcu 1847 roku. Polacy zastali już na Szpilbergu rewolucjonistów węgierskich oraz licznie tu osadzonych karbonariuszy włoskich. Trzeba podkreślić, że przez kazamaty szpilberskie przeszło wielu wybitnych synów narodu włoskiego, jak: hrabia Gwido Pallavicini, późniejszy minister Piemontu, skazany na śmierć, a później ułaskawiony — pisarz Silvio Pellico, autor rozchwytywanego w owym czasie dzieła „Le mie Prigioni" (Moje więzienia), Antonio Dossi, poeta Maroncelli i szereg innych.

Polacy wnieśli w mury Szpilberga nowego ducha oporu i niezachwianą wiarę w ostateczne zwycięstwo idei wolności. Początki walk o uzyskanie praw, przysługujących więźniom nie były łatwe. Zaraz w pierwszym dniu przybycia Polaków zaszedł wypadek, który miał tragiczne następstwa. Henryk Hubicki, jako więzień polityczny, nie pozwolił ostrzyc sobie włosów, za co wtrącony został na 5 tygodni do karnej celi, mieszczącej się w najniższej kondygnacji i będąc chorym na płuca zmarł na kilka dni przed ukończeniem kary.



Koło tortur wywołuje dreszcz grozy u zwiedzających podziemia zamku.

Wypadek z Hubickim nie wpłynął na postawę Polaków. Przystąpiono do tworzenia organiza-

(Ciąg dalszy na stronie 2)

Słowiańska arteria wodna

Kanał Odra-Dunaj

będzie dziełem większym od Suezu i Panamy

Określenie „kanał Odra-Dunaj" stało się publicznym dobrem każdego, kto w Polsce miewa w ręku gazety. Nie każdy jednak zdaje sobie sprawę z rozmiarów, a przede wszystkim ze znaczenia tego olbrzymiego przedsięwzięcia. Suez łączy bezpośrednio Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym, ale pośrednio Atlantyk z Oceanem Indyjskim; Panama — Atlantyk z Pacyfikiem. Kanał Odra-Dunaj połączyć ma Morze Czarne z Morzem Bałtyckim, a zatem dwa morza odleglejsze od siebie znacznie, niż tamte obszary wód, połączone ze sobą Kanałem Panamskim czy Kanałem Sueskim.

Jeżeli zaś tamte dwa kanały mają dla światowej żeglugi znaczenie olbrzymie, to kanał Odra-Dunaj, łączący ze sobą najtańszą i najwygodniejszą ze wszystkich drogą wodną dwa morza i szereg krajów położonych w jego zasięgu, ma niepojętą wręcz doniosłość dla gospodarczego życia tej połaci Europy. Wielkim węzłem kanału Odra-Dunaj, planowanego przez placówki czechosłowackie i polskie, zwiąże się mocno Europa środkowa i południowo-wschodnia, pozostająca dotychczas mniej lub więcej pod niemieckim wpływem ekonomicznym; węzeł ten utwierdzi ekonomiczną niezależność tej części Europy od ekonomicznej potęgi zachodniego sąsiada.

Niespotykany rozmach prac

Ilość pracy, konieczna dla zrealizowania gigantycznego projektu, przewyższy też z pewnością wysiłek, jaki potrzebny był dla realizacji planów Lessepsa. Jeżeli dla utrzymania kanału Sueskiego w stanie zdatnym do użytku wśród lotnych piasków pustyni potrzeba nieustannej pracy i trudu, to jednak wykopanie tego kanału wśród tychże piasków było łatwiejsze, niż przebicie przez czechosłowackie góry przelotów dla kanału Odra-Dunaj i niż podniesienie tego kanału na potrzebną wysokość.

Kanał Odra-Dunaj wkroczył w fazę definitywnego ustalania planów i prac przygotowawczych. Dane poniższe oparte są na projekcie zatwierdzonym przez Dyrekcję Budowy Dróg Wodnych w Pradze — projekcie właściwie ostatecznym, ponieważ przeważająca część kanału przebiegać będzie przez terytorium czechosłowackie, podlegające kompetencji tej placówki.

Ogólna długość kanału Odra-Dunaj na trasie Koźle — Przerów — Devin wynosić będzie 309 kilometrów, a odległość ze Szczecina do Sulimy nad Morzem Czarnym via Odra — Kanał — Dunaj — 2.829 kilometrów. Zbudowanie kanału tworzy przeto śródlądowy szlak wodny długości blisko *trzech tysięcy kilometrów!*

Duża różnica poziomu

Północny wylot kanału, który się kończy na skanalizowanym już obecnie odcinku Odry koło Koźla, znajduje się na wysokości 165,37 metrów nad poziomem morza. Natomiast „stanowisko szczytowe", tzn. najwyższe wzniesienie kanału, na przecięciu z działem wodnym Odra-Dunaj w tzw. Bramie Morawskiej koło miasta Hranice w Czechosłowacji wynosi 279 m nad poziomem morza. Kanał wznosi się przeto prawie *o 114 metrów wzwyż*, aby później opaść do poziomu Dunaju koło Devina, przy swoim ujściu południowym, o 142,3 metra. Uprzytomnić sobie zatem należy, że na tę wysokość podnieść trzeba — i potem znowu opuścić — 1.000-tonowe ładowne barki i ciągnące je holowniki parowe.

System śluz komorowych

Spadek pokonywany będzie na trasie kanału Odra-Dunaj częściowo przy pomocy zwykłych śluz komorowych, częściowo przy pomocy tzw. podnośni.

Spadek północnej części kanału — tzn. od Koźla do stanowiska szczytowego koło Hranic — pokonywać będzie kanał najpierw przy pomocy czterech śluz (o różnicach spadku 7,63, 8,8, 10,1 i 11,3 metra), następnie już po stronie czechosłowackiej, przy pomocy trzech podnośni o różnicach poziomów 26,6, 20,0 i 30,0 metrów. Spadek ze stanowiska szczytowego do ujścia południowego pokona kanał przy pomocy trzech podnośni i ośmiu śluz.

Najwyższa z podnośni kanału Odra-Dunaj ma różnicę poziomów 30,5 metra — trzydzieści i pół metra! Proszę sobie wyobrazić podniesienie na tę wysokość — na wysokość 7-piętrowej kamienicy 1.000-tonowej ładownej barki razem z wodą, potrzebną, aby barka ta mogła unosić się na niej! Koryto zamkniętej podnośni ma 86 m długości, 12 m szerokości, 3,5 m głębokości, czyli zawiera przeszło 2.500 ton wody! Wszystko to razem waży — w przybliżeniu — tyle, co pociąg ze 150 wagonów węgla razem z lokomotywą, licząc po 10 ton ładunku na wagon. Proszę sobie teraz wyobrazić podniesienie takiego ciężaru na wysokość ósmego piętra! — Tak właśnie przedstawia się 30-metrowa podnośnia koło Trnavki na zachód od Lipnika nad Beczwą.

Trasa Koźle — Roszków — Hranice — Przerów — Napajedla — Hodonín — Devin... Różnica poziomów 114 m w części północnej, a 142 m w części południowej. Razem 6 podnośni, 12 śluz komorowych. Tak w kilku słowach, w kilku suchych cyfrach, przedstawia się projekt kanału Odra-Dunaj. Ale żeby te cyfry urzeczywistnić, aby proste dane geograficzne zamienić na krajobraz, na płynące ładowne barki i na dymiące kominy parowców — do tego potrzeba czegoś więcej niż cyfr: potrzeba olbrzymiej ilości pracy i zapału.

„Pociągi" wodne

Wróćmy na chwilę do suchych cyfr. Kanał przewidziany jest w zasadzie dla barek 1.000-tonowych, przy czym śluzy budować się będzie typu pociągowego, tzn. takie, aby pomieściły cały „pociąg" wodny — 2 barki z holującym parowcem — i bliźniacze tzn. mieszczące dwa takie pociągi, płynące w przeciwnych kierunkach. Dla obliczenia wydajności przewozowej kanału przyjąć trzeba, że w kierunku pierwotnym barki naładowane będą w 85 proc., w kierunku powrotnym — gdzie już ładunek będzie okolicznościowy — w 25 proc. Są to cyfry wyznaczone przez specjalistów — być może nazbyt pesymistyczne, ale w tych sprawach lepsza zawsze ostrożność.

Mijanie w komorach bliźniaczych trwa mniej więcej dla dwóch pociągów po dwie barki — 70 minut, a zatem w ciągu dnia żeglugowego w okresie letnim, trwającym 16 godzin, nastąpić może mniej więcej 13 — 14 takich mijań. Takich dni może być w ciągu roku 190; przez dalsze 95 dni ruch trwać może 12 godzin, dając zatem około 10 mijań na śluzach. Przy podanym wyżej procencie ładowności i tych danych co do wydajności śluz, przyjąć należy dla kanału około *15 milionów ton towarów przewozu rocznego; maksymalna wydajność* przy tych danych, przyjmując, że ruch trwałby przez 285 dni po 24 godziny na dobę, dosięga *25 milionów ton.*

Co do wydajności kanału zdania były od dawna bardzo podzielone. Poszczególne obliczenia przewidywały *10 czy 12 milionów ton rocznie;* najbardziej pesymistyczne obliczenia szacunkowe zestawione w czasach depresji kryzysowej po roku 1931, Czechosłowackiego Urzędu Żeglowego przewidywały dla kanału Odra-Dunaj transport nieco ponad *5 milionów ton.* Niemcy w czasie okupacji natomiast liczyli się, przy pełnym rozwinięciu ruchu na kanale, z transportem *20 milionów ton.* Wynika stąd, że możliwości kanału według obecnego projektu odpowiadają przewidywanym na ogół cyfrom — i że przyszłość pokaże, w którym miejscu skali między 5 i 25 milionami ton transportu zatrzyma się wskazówka rzeczywistości.

Kłopoty z... wodą

Nie każdy zdaje sobie sprawę, że przy budowie kanału trzeba się liczyć z potrzebą czegoś, czego ani zrobić, ani stworzyć nie można. Kanał potrzebuje mianowicie wielkich ilości *wody.* Na pierwszy rzut oka zdaje się to paradoksalne — a jednak łatwiej podnieść ładunek paruset wagonów na wysokość setek metrów, niż uzyskać potrzebną dla kanału ilość wody. Przy śluzowaniu bowiem woda spływa z wyższych odcinków kanału na niższe; znaczne ilości wsiąkają w ziemię, parują, przeciekają przez nieszczelne wrota śluz; dla wszystkich tych ubytków znaleźć trzeba uzupełniające ilości, o które nie jest tak łatwo, chodzi bowiem o „grube miliony" metrów sześciennych wody. Zrozumiałe, że z tego względu wygodniejsze są podnośnie, niż śluzy.

Przy wzięciu pod uwagę oszczędnościowego charakteru podwójnych, bliźniaczych śluz komorowych, które zaoszczędzają około 45 proc. wody, zużycie wody dla ruchu na najwyższej śluzie części północnej kanału wyniesie na sezon żeglugowy około 120 milionów m³; na najwyższej śluzie części południowej nieco mniej, około 117 mil. m³. Takiej ilości wody trzeba dostarczyć na wysokość stanowiska szczytowego; do tego doliczyć trzeba jeszcze wspomniane inne straty, wynoszące dla części północnej szacunkowo: straty hydrologiczne — 30 mil. m³, przeciekanie — 3,9 mil. m³. Dla części południowej odpowiednie cyfry wynoszą 38 mil. m³ i 3,5 mil. m³, do tego wszystkiego jeszcze około miliona metrów sześciennych na straty przy podnośniach.

Zaopatrywanie kanału Odra-Dunaj w wodę ma mieć charakter mieszany, tzn. że uzupełniające ilości wody uzyskiwane będą częścią ze zbiorników już istniejących, lub projektowanych, częścią przez przepompowywanie wody z niższych zwierciadeł do wyższych, częścią przez bezpośrednie przejmowanie wody z rzek w okresie wysokiego ich stanu.

Szczecin będzie portem całej słowiańszczyzny

Problem kanału Odra-Dunaj nie kończy się zresztą ani koło Koźla, ani koło Devina. Pełne wykorzystanie kanału możliwe będzie tylko po odpowiednich melioracjach dróg wodnych Odry i Dunaju. Na Dunaju chodzi przede wszystkim o usprawnienie porohowego odcinka tzw. Żelaznych Wrót; na Odrze o podniesienie stanu wody w ogóle.

Dane rzeczowe i cyfrowe powyższego omówienia zaczerpnięto z artykułu dra Jana Smetany, profesora Wyższej Szkoły Technicznej w Pradze, zamieszczonego na łamach „Przeglądu Zachodniego".

Słowo „wysiłek" powtarza się tu nieraz. Można przypuszczać, że Polska i państwa naddunajskie z Czechosłowacją na pierwszym miejscu słowa tego się nie ulękną i że jak mówi prof. Smetana — „port w Szczecinie i kanał Odra-Dunaj mogą uzyskać dostateczną atrakcyjność dla zaplecza".

Niedobór czy nadmiar?

Medycyna bada choroby powstałe na skutek złego odżywiania się

Od czasu odkryć bakteriologicznych wiedziano, że przyczyną wielu chorób jest obecność i rozmnażanie się drobnych żyjątek, które nazwano drobnoustrojami chorobotwórczymi lub zarazkami. Zbyt pośpieszne uogólnienie nasunęło myśl, że jeśli już nie wszystkie choroby, to ich przeważająca część powodowana jest przez zarazki. Następnie dopiero spostrzeżono, że z jednej strony — w chorobach zaraźliwych — zarazek nie jest wszystkim, lecz że ma tu znaczenie także i podłoże, z drugiej zaś strony stwierdzono, że przyczyną wielu chorób jest zależna od sposobu żywienia.

Przełomowa praca polskiego uczonego

Około r. 1910 ustaliło się pojęcie chorób z niedoboru, wynikających z braku pewnego niezbędnego czynnika w pożywieniu. Przełomowych prac w tej dziedzinie dokonał uczony polski Kazimierz Funk, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, który nadał temu niezbędnemu czynnikowi nazwę witaminy. Uważał on, że witamina ta pod względem składu chemicznego musi być podobna do niektórych związków chemicznych, zwanych aminami. (Polska nazwa witaminy — życian — nie zdołała sobie pozyskać większego uznania).

W miarę dalszych badań okazało się, że nie chodzi tu o jedną witaminę, ale o większą ich liczbę; okazało się też, że pod względem chemicznym są to nie tylko związki aminowe, ale że ich budowa jest bardzo różnorodna. W miarę wyodrębniania nowych witamin wyodrębniano też różne jednostki chorobowe, powstające z niedoboru poszczególnych witamin.

Niedobór czy szkodliwy nadmiar

Jednakże mylny byłby sąd, że wszystkie choroby wywołane nieodpowiednim żywieniem są chorobami z niedoboru. Stwierdzenie zwłaszcza, że straszliwe choroby, które były rozpowszechnione w średniowieczu i pustoszyły wówczas całe kraje, spowodowane były przez grzybek pasożytujący na życie — sporysz, używany zresztą i obecnie jako lekarstwo przy niektórych chorobach.

Skoro przyczyną jakiejś choroby jest pożywienie, niełatwo można dokonać wyboru między dwoma przypuszczeniami: czy ma się do czynienia z obecnością czynnika trującego, czy też z niedoborem czynnika niezbędnego? Przykład takich trudności stanowi rumień lombardzki (pellagra), ciężka choroba, powodująca stopniowo objawy skórne, trawienne i nerwowe. Ponieważ występuje ona wśród ludności, żywiącej się wyłącznie kukurydzą, szukano najpierw wszelkimi sposobami jakichkolwiek czynników szkodliwych w kukurydzy. Później dopiero, wobec podobieństwa z występującą u psów w Ameryce chorobą black tongue (czarny język), a którą badacze amerykańscy zaczęli przypisywać niedoborowi kwasu aminonikotynowego, zaczęto badać też stosunek między pellagrą i kwasem aminonikotynowym. Związek ten występuje w kukurydzy w ilości szczególnie nieznacznej, podobnie jak i w innych rodzajach pożywienia, które w następnie doprowadzają do rumienia lombardzkiego. Związek ten działa też leczniczo i zapobiegawczo przy rumieniu tak, iż nadano nazwę witaminu PP (z angielskiego — pellagra preventing — zapobiegający pellagrze).

Tajemnicza epidemia

Z przykładu tego widać jak w badaniach szło się od przypuszczenia o zatruciu do przypuszczenia o chorobie z niedoboru. Odwrotną drogą myślową kroczono w przypadku zaburzenia zasadowego — zwanego po angielsku Alkali disease, która to choroba występuje u zwierząt domowych w różnych okolicach Stanów Zjednoczonych. Od niepamiętnych czasów występuje ona u bydła rogatego i koni, objawiając się początkowo zmianami w owłosieniu i na kopytach, następnie zaburzeniami łaknienia i widzenia, doprowadzając do porażeń i padnięcia.

U ptactwa zaburzenia te nie są tak wyraźne, lecz zato występuje znoszenie nieprawidłowych jaj, z których lęgną się wątłe pisklęta, tylko z najwyższym trudem dające utrzymać się przy życiu. Okolice, w których srożyła się ta choroba, mianowicie Dakota Południowa, nie mogły prowadzić hodowli pomimo bohaterskich wysiłków rolników. Położenie ludności tych okolic stawało się groźne; na wołania o pomoc rząd Stanów Zjednoczonych w r. 1931 przyznał placówkom badawczym poważne kredyty na znalezienie przyczyny i środków zaradczych.

Tło chorobowe nie ulegało wątpliwości — była to choroba z żywienia. Ale badacze szukający niedoboru jakiegoś czynnika niezbędnego nie osiągnęli wyniku dodatniego. Także i zwolennicy czynnika trującego długo kroczyli błędnymi drogami: podejrzewano początkowo obecność sporyszu, później różnych innych pasożytów, potem zaczęto przypisywać chorobę złemu przechowywaniu ziarna i paszy.

Zabójczy pierwiastek

Poszukiwania weszły na właściwą drogę dopiero wówczas, gdy dr Knight zwrócił uwagę na spostrzeżenia gleboznawcy Rice'a, który w sąsiedztwie jednego z nawiedzonych okręgów stwierdził obecność warstw zawierających pierwiastek selen (rzadki metaloid — w układzie pierwiastków, sąsiadujący z siarką). Od tej chwili badania szybko posuwały się naprzód. Selen stwierdzono we wszystkich okręgach występowania choroby. Ilość jego była nieznaczna, około jednej milionowej, lecz w niektórych częściach roślin zawartość ta zwiększała się do dziesięciu i dwunastu milionowych.

Doświadczenia na szczurze, myszy i kurze, którym do pożywienia dodawano związków selenowych, wywołały zaburzenia odpowiadające tym, jakie występowały u bydła w zagrożonych okręgach. Doświadczenia prowadzono dalej na królikach, świnkach morskich, psach i trzodzie chlewnej; potwierdziły one wyniki już uzyskane, tak iż wina selenu w wywoływaniu tej choroby nie ulegała już wątpliwości.

Dotychczas jednakże nie znaleziono żadnego środka zapobiegającego przechodzeniu selenu z gleby do roślin, ani też zapobiegającego zatruciu zwierząt jeżeli rośliny z zawartością selenu stanowią ich główne pożywienie. Natomiast pożywienie mieszane zabezpiecza zwierzęta przed chorobą, gdyż zmniejsza ogólną ilość selenu pobieranego w paszy. Właśnie z powodu mieszanego sposobu żywienia się ludzi nie spostrzegano u nich przypadków zatrucia.

Po stwierdzeniu przyczyny choroby łatwo było jej zapobiec, wyrzekając się hodowli w okolicach, w których gleba zawiera znaczniejszą ilość selenu i przechodząc na uprawę roślin nie używanych na pokarm.

„Rzeczpospolita grajgórska"

(Dokończenie ze strony 1)

cji, celem wzajemnego niesienia sobie pomocy i uzgodnienia wszelkich poczynań. Powstałej organizacji nadano nazwę „Rzeczpospolita grajgórska", (nazwa ta znajduje wyjaśnienie w określeniu Szpilberga słowiańską nazwą Grajgóra). Naczelnikiem wybranym został Ignacy Komorowski spod Złoczowa, jego zastępcą — historyk Henryk Szmidt, skazany na 20 lat więzienia za udział w wyprawie narajowskiej, a sekretarzem Apolinary Stokowski.

„Rzeczpospolita grajgórska" miała nawet swojego sędziego, w osobie księdza Ludwika Gromadzkiego, oraz prokuratora, którym został Władysław Domaradzki.

Tajna poczta przynosiła do „Rzeczpospolitej grajgórskiej" radosne wieści o coraz to nowych ruchach zbrojnych przeciwko tyranii, które poczęły wstrząsać Europą. Jakież radosne chwile musieli przeżywać ludzie, którzy byli zarzewiem wybuchających w tym czasie walk o wolność i demokrację.

Z listy Polaków uwięzionych w tym czasie na Szpilbergu wymienić należy obok przywódców organizacji więziennej Roberta Nabielaka, Józefa Wysockiego, Wojciecha Włodka, Władysława Dydyńskiego, Franciszka Taruńskiego, a przede wszystkim poetę i działacza chłopskiego Juliusza Goslara. Ten pełen zapału i poświęcenia młody rewolucjonista, stracony w Wiedniu po tragicznym zakończeniu Wiosny Ludów, był duszą pawilonu polskiego.

Niemieccy strażnicy nie zdołali opanować krnąbrnych Polaków i przyzwyczaili się do tego, że polski pawilon codziennie rozbrzmiewał hymnem narodowym i hymnem „Rzeczpospolitej grajgórskiej", ułożonym przez Goslara, a zaczynającym się od słów:

Wywieźli nas w zachód słońca,
Gdzie Szpilberga gród,
Lecz nasz związek nie ma końca,
Bośmy jeden ród.

Juliusz Niekrasz.

7.200 rozmów i depesz

na jednym kablu

Kabel koaksjalny łączący Nowy Jork z Los Angeles odznacza się zdolnością równoczesnego przenoszenia około 1.300 rozmów telefonicznych i z górą 2.500 depesz dalekopisowych i telegraficznych. Kabel ten w większości odcinków nie jest grubszy od ręki ludzkiej i po dokonaniu pewnych ulepszeń będzie mógł w najbliższej przyszłości dodatkowo służyć jako przewodnik dla kilku programów telewizyjnych równocześnie.

Składa się on z sześciu do ośmiu zwykłych rurek miedzianych grubości ołówka. Każda z nich mieści w sobie drut, chroniony materiałem izolacyjnym. Na zasadzie określonego stopnia wysokiej częstotliwości każdy z tych przewodników przenosi równocześnie po kilkaset rozmów telefonicznych bez jakichkolwiek wzajemnych zakłóceń.

Normalnie czynne są tylko trzy pary przewodników, podczas gdy czwarta pozostaje do dyspozycji na wypadek defektu jednej z pierwszych trzech. Dotychczas jeszcze nie zbadano ile impulsów może przenosić kabel koaksjalny. W chwili sporządzania kabla przypuszczano, że każda z trzech par przewodników będzie w stanie przenosić naraz około 480 rozmów, względnie 18 depesz telegraficznych w miejsce jednej telefonicznej. Po wprowadzeniu dodatkowego urządzenia pomocniczego kabel może przenosić do 600 rozmów telefonicznych na jednej parze przewodników. Dalsze z kolei powiększenie dobroci kabla uzyskano dzięki podwojeniu liczby stacji z urządzeniami wzmacniającymi. Obliczono, że przy maksimum wzmocnienia, kabel zdolny jest do równoczesnego przenoszenia 7.200 rozmów.

Nie mniej jednak w chwili obecnej przeciętna praca kabla waha się w granicach poniżej tysiąca rozmów naraz. Kabel jest skonstruowany w ten sposób, aby mogły z niego także korzystać liczne uboczne odgałęzienia pocztowe, poza jego głównym transkontynentalnym zadaniem.

Oprócz ośmiu głównych przewodników kabel zawiera kilkadziesiąt par pojedynczych cienkich drutów izolowanych, przenoszących zwykłe impulsy o niskiej częstotliwości.

Podziemny kabel transkontynentalny chroniony jest silnie materiałem izolacyjnym, składającym się z szeregu warstw masy termoplastycznej podobnej do gumy i grubszej osłony miedzianej, pokrytej taśmami jutowymi, nasyconymi asfaltem. W miejscach gdzie kabel przecina rzekę, chroniony jest dalszymi dwoma powłokami, przeplatanymi drutem.

Towarzystwo Bell System zainstalowało już przeszło 6.000 km kabla koaksjalnego. Planuje się, że z końcem 1949 roku tego rodzaju sieć telekomunikacyjna zwiększona zostanie do około 18.000 km. (cz)

Skąd bierze się guma do żucia

Ojczyzną surowca używanego do wyrobu gumy do żucia jest Cozumel — święta wyspa starych Majów. Perspektywy rozwoju wyspy uzależnione są dziś w znacznej mierze od zbytu gumy do żucia na rynkach światowych, głównie na amerykańskim. Na wyspie tej nie rosną wprawdzie drzewa sapodillo, zawierające żywicę potrzebną do produkcji gumy do żucia; niemniej jednak wyspa Cozumel stanowi niejako centrum handlowe i załadunkowe tego produktu.

Przez cały okres sezonu to jest od czerwca do lutego gromadzi się w dziewiczych kniejach Jukatanu wielkie ilości przetapianej żywicy, którą transportują następnie na swych grzbietach muły do pomniejszych stacyjek na wybrzeżu. Stąd już odpływają co pewien czas szkunery, przewożąc ładunki w wysokości od 10 do 15 ton na wyspę Cozumel,

Anna Kowalska

Sieroty

Opowiadanie

— Wiesz Jędrek, że nie można mieszkania zostawić bez opieki — powiedziała Dosia zniechęcona.

— Ależ mamo, przecież nie mogę dusić się w mieście w czasie tych upałów. Zresztą sama mama mówiła, że jak zdam ostatni egzamin...

— Dostaniesz złoty zegarek ojca i...

— Niech mama sama powie — przerwał całując ją w czoło — czy mógłbym zostać... Umówiłem się z kolegą. Mama ma przecież dwa miesiące wakacji, może mama pojechać na sierpień. A zresztą jest Ewa. Mama jest za miękka dla Ewy — zmarszczył brwi, ale zobaczywszy się w lustrze uśmiechnął się do siebie.

Dosia odłożyła list od przyjaciółki, zapraszający ją do siebie w góry i zaczęła przeliczać pieniądze. I tak z trudem mogłaby wyjechać, chyba żeby nie dać futra Ewy do przeróbki, ale wiedziała, że nie zdobędzie się, by nawet córce o tym wspomnieć. Ewa już wszystko umówiła z kuśnierzem i nawet była u niego z narzeczonym. Na myśl o Mietku... nie, znieść nie mogła tego fircyka uśmiechniętego ironicznie. Nie znosiła jego imienia, ruchów, głosu. Gdy patrzył na Ewę, Dosia dostawała wypieków, szumiało jej w głowie.

— Mamo — odezwał się Jędrek sprzed lustra — czy mogę prosić o papierosa, zapomniałem sobie kupić.

— Weź z biurka.

Patrzyła jak zapalił papierosa, usiadł w fotelu, podciągając spodnie na kolanie.

— Może byś powiedział: dziękuję.

— Ah, mamo, przepraszam — pocałował ją w rękę i pochylił się nad nią ogromny i jasny, trochę speszony, trochę zniecierpliwiony.

— Może mama powie Ewie, żeby mi pożyczyła swój plecak. Jej jest niepotrzebny, jedzie do pensjonatu. Ona ma porządną walizkę ojca, ...właściwie to ta walizka powinna mnie się dostać...

— Dobrze, powiem jej.

Zaterkotał dzwonek, Jędrek pobiegł otworzyć. Ewa burknęła mu „dziękuję" i weszła wielkimi krokami do pokoju.

Jaka ona ładna, smuciła się Dosia. Ma takie śliczne szafirowe spojrzenie, czułe i serdeczne... Szkoda jej dla tego durnia.

— Ah, mamo, byłam na lodach. Pycha. Elegancka nowa kawiarnia. Dają tam o, taką górę kremu. Boże, jaka ja ...em zmęczona, szukaliśmy po całym mieście żółtego filtru do aparatu. Co za miasto. Lepu na muchy także nigdzie nie ma. A te moje sandały to ostatnia tandeta, pieką jak sto diabłów.

— A pocóżeś kupowała skórzane i to takie drogie, wszystkie kobiety noszą teraz sznurkowce — nie wytrzymał Jędrek.



— Sam jesteś sznurkowiec. Powiedz mi raczej dlaczegoś wziął moją krawatkę.

— Do egzaminu ją pożyczyłem.

— No widzisz, przyniosła ci szczęście.

— Dzieci, krzyczycie jakbyście mieli po dwanaście lat.

Dosia poszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę. Zobaczyła że budzik stanął, więc go nakręciła. Podlała petunie w skrzynce i oskubała zwiędłe kwiaty. Wykonywała wszystko szybko i sprawnie. Zawołała na Ewę, aby nakryła do stołu, ale Ewa jęczącym głosem przeprosiła, że nie może bo właśnie łapie oczko w pończosze. Dosia nakryła więc sama, przy sposobności zmieniła wodę we flakonie i obcięła łodygi goździków. Przyniosła herbatę i zawołała dzieci na kolację.

Ewa zaczęła opowiadać o klinice. Jedyną rzeczą, którą lubiła, była właśnie jej praca.

Jakie to one rosłe i piękne. Udane dzieci. Ileż to surówek, ile soków owocowych, ile starań, aby właśnie były zdrowe i mocne. Zwłaszcza Jędrek wspaniale wygląda. Przypomina Jana, ale jest zdrowy, rumiany. Przynajmniej lekarze twierdzą, że nie można mieć zdrowszego serca. Ale o Janie także to mówili, póki się nie położył.

Dosia czuje się zmęczona. Może nawet dobrze że wyjadą a ona zostanie sama w pustym mieszkaniu. Nie są złymi dziećmi, ale nie mogą się domyśleć ile ją kosztowały. Pewnie tak trzeba, aby nie wiedziały. Muszą przecież odejść. Już odeszły. Już są porwane swoim życiem. Dosia nie czuje zupełnie żalu, tylko zmęczenie. Ten rok był ciężki. Oprócz lekcji w szkole tyle dodatkowych kursów. Najważniejsze, że Jędrek jest już doktorem, a Ewa na posadzie.

Dosia krząta się po swoim pokoju. Wzrok jej pada na fotografie dzieci. Ewa na ręku Jana wyciąga rączki do kwiatów. Jędrek z tornistrem. Jakie to dalekie, jak nie z własnego życia...

* * *

— Tak wcześnie na przechadzce? I co pani tu robi? Miała pani jechać w góry. — Inspektor Tyszka popatrzył uważnie na panią Dorotę Orońską, jej gładko przyczesane włosy i spokojną, pogodną twarz.

— Wyszłam się przejść, chciałam raz zobaczyć wschód słońca. Doktór zalecił mi godzinę dziennie spędzać na przechadzce. Nie mogłam wyjechać, bo dzieci... — opowiedziała żartobliwym tonem jakie to są dzieci i jak nagle spostrzegła, że dzieci stały się dorosłymi.

— Właściwie w pewnym sensie odzyskałam wolność, mogę sobie pozwolić nawet na to, żeby umrzeć — powiedziała radosnym głosem.

— ...albo żeby żyć — serdecznie doradzał Tyszka.

— Pan nie ma pojęcia co za ulga wiedzieć, że już sobie dadzą radę, że mnie nie potrzebują. To trochę smutne, ale co za ulga.

Tyszka odwrócił głowę.

— Nie wiedziałem, że ma pani takie dorosłe dzieci.

— Młodo wyszłam za mąż. Już po ślubie skończyłam uniwersytet. Ojciec mój się tego domagał i słusznie, jak się okazało. Ewa miała czternaście lat a Jędrek dwanaście, jak mąż umarł.

Pomyślała jak też tam grób Jana może teraz wyglądać. Pewnie zarośnięty trawą, to już przecież trzy lata jak tam nikt nie chodzi.

— Ciężko pani było — rzekł inspektor.

— Dużo się napracowałam, ale lubiłam, gdy wszystko zależało ode mnie, i że mogłam sprostać.

— Emeryturę jakąś pani miała?

— Emerytura? — zdziwiła się ze śmiechem Dosia — wiadomo co to jest emerytura.

— Tak, emerytury i zaopatrzenie sierót to wstydliwe rzeczy — powiedział Tyszka gniewnie.

Dosia z przyjemnością słuchała jego głosu.

Szli wałem nad Odrą jeszcze uśpioną mleczno-świetlistą. Mały stary człeczyna, wypłowiały i spłókany deszczami, pędził krowinę na błonie nad rzeką

— Co to za życie, być dodatkiem do krowy — powiedział Tyszka.

— Dobry musi być z pana człowiek, panie inspektorze — powiedziała z przekonaniem Dosia.

Zaśmiał się szczerym chłopięcym śmiechem.

— Usiądźmy tu, dobrze? — wydała mu się zmęczona.



— Ojciec mi umarł, gdy miałem trzy lata, a matka gdy miałem dziesięć. Krewni mnie przygarnęli, alem od nich uciekł, oni to już serca nie mieli. Dziesięcioletni sierota to zawsze przeszkadza. Czułem, że im zawadzam. Gdziem to się nie tułał, czegom nie robił! U szewca pracowałem i w sklepiku, u chłopa i kowala, tyle, żem się uczył zawsze, o głodzie i chłodzie, nieraz pod schodami albo pod strychem, alem się uczył. Ciekaw byłem i wiedziałem, że tylko nauka mnie ocali od biedy. I ocaliła. Alem biedy nie zapomniał i sieroctwa nie zapomniał. Dzisiaj jak sierota chce się uczyć, to znajdzie ułatwienia o jakich w mojej młodości i marzyć nie było można. Ot, pod moim zarządem jest sierociniec. Dom piękny w parku i pieniędzy nie brak, bo o nie zabiegam, tylko ludzi brak. Babę co tam zarządzała przepędziłem. Byłbym ją z czystym sumieniem ukatrupił, tak mi sieroty krzywdziła. Pieniądze, budynki, nic nie pomoże, jeśli nie ma ludzi. Tym się martwię. Do sierót potrzeba ludzi którzyby... — chciał powiedzieć — ...je kochali, — ale nie dokończył.

Dosia uścisnęła go za rękę i powiedziała po prostu:

— A może ja bym się do tego nadała?

Inspektor Tyszka spojrzał na Dosię swymi rzetelnymi szarymi oczami.

— Pani? naprawdę, zdecydowałaby się pani?

— Już się zdecydowałam!

Wstali i żwawym krokiem poszli w stronę zielonego mostu, jakby nie mieli czasu do stracenia.

Gwóźdź służy nie tylko do przybijania...

Od niepamiętnych już czasów, pod każdą szerokością geograficzną znane było i bardzo rozpowszechnione zielarstwo Do dnia dzisiejszego są kraje, w których leczenie odbywa się tylko przy pomocy ziół. Wieloletnie doświadczenie na tym polu stworzyło bogatą wiedzę, która oddała ludzkości nieocenione usługi. Dziś zielarstwo, aczkolwiek w krajach o wyższej kulturze pozostaje na drugim planie lecznictwa, ma ono za sobą dużą i świetnie z punktu naukowego opracowaną literaturę.

Najciekawsze jednak w tym wszystkim jest to, że z dziwną jakąś podświadomością lud o wiele wcześniej niż nauka odnalazł lecznicze właściwości w świecie roślinnym. Ale nie tylko w świecie roślinnym odnajdywano te właściwości, bo i w świecie mineralnym lud wcześniej znacznie niż nauka wykrył środki lecznicze. Najlepszym dowodem jest fakt, iż na długie wieki przed odkryciem przez Curie-Skłodowską radu, górnicy w słynnych kopalniach w Joachimowie, w Czechosłowacji, zawierających największą na kuli ziemskiej ilość radu, używali napełnionych uranem z tych kopalni woreczków, jako środka leczniczego przeciw wszelkim chorobom.

Podobnie u wszystkich niemal ludów, od najdawniejszych czasów, rozpowszechnione było przekonanie o własności leczniczej żelaza. Przypisywano mu zaś tajemnicze siły przede wszystkim z powodu tworzącej się na nim rdzy.

Rzymianie byli przekonani, iż rdza może wyleczyć rany, zadane przez żelazo. Dlatego też rannemu dawano trunek zmieszany z rdzą miecza, który go zranił. W grobach egipskich, w katakumbach i w grobach średniowiecznych, znaleziono mnóstwo zardzewiałych gwoździ. Okazało się, że istniał przez długie wieki zwyczaj wkładania do grobów gwoździ, celem chronienia ciała nieboszczyków od rozkładu, a Egipcjanie wbijali je nawet wprost w ciała umarłych.

U niektórych narodów istnieje jeszcze obecnie zwyczaj leczenia gwoździmi całego szeregu chorób, a przede wszystkim bledznicy. Lekarstwo to preparuje się w ten sposób, że rozpalone do białości gwoździe zanurza się w winie, po czym płyn ten podaje się choremu do wypicia. Inną zaś receptę przygotowuje się w ten sposób, że w jabłko lub inny jakiś owoc wbija się szereg zardzewiałych gwoździ, ażeby „nasiąknął" rdzą. Po paru godzinach podaje się owoc choremu do zjedzenia. Zdawało by się na pozór, że jest to śmieszne i nie ma żadnego uzasadnienia. A tymczasem... — wiemy przecież dobrze, że nowoczesna medycyna leczy bledznicę różnymi preparatami żelaznymi.

KOTY I CZAROWNICE

Z gwoździem związany jest cały szereg zabobonów. U Rzymian bardzo rozpowszechniony był zwyczaj „zagważdżania" chorób. Powstał on w piątym wieku przed Chrystusem, gdy grasowała tam z dużym nasileniem dżuma.

W wiekach średnich gwóźdź odegrał niemałą rolę w potwornych prześladowaniach tzw. czarownic. Wierząc, że taka czarownica potrafi przybierać różne postacie, lud dręczył niewinne zwierzęta domowe, a szczególnie koty, przybijając gwoździami do podłogi te nieszczęsne stworzenia, by przekonać się, czy nie „przemienią się w jędzę". Badano też czarownice, czy na ich ciele nie ma znaku od wbitego gwoździa. Za najlepszy środek przyłapania złodzieja uważano wbijanie gwoździa w ślady jego stóp. Jeśli później złodziej raz jeszcze się zakradł — nie mógł już uniknąć kary.

Wśród narodów europejskich najbardziej rozwinęli ten cudaczny kult do gwoździa Niemcy i Austriacy. W Austrii, w okolicy Krems, jeszcze przed kilkudziesięciu laty żył znachor, który leczył wszelkie choroby przy pomocy wbijania gwoździa w drzwi kapliczki. Chory musiał wyżebrać sobie od kowala gwóźdź i wśród modlitw i zaklęć, odmawianych przez znachora, osobiście wbijać go w owe drzwi.

„GWÓŹDŹ DO TRUMNY"

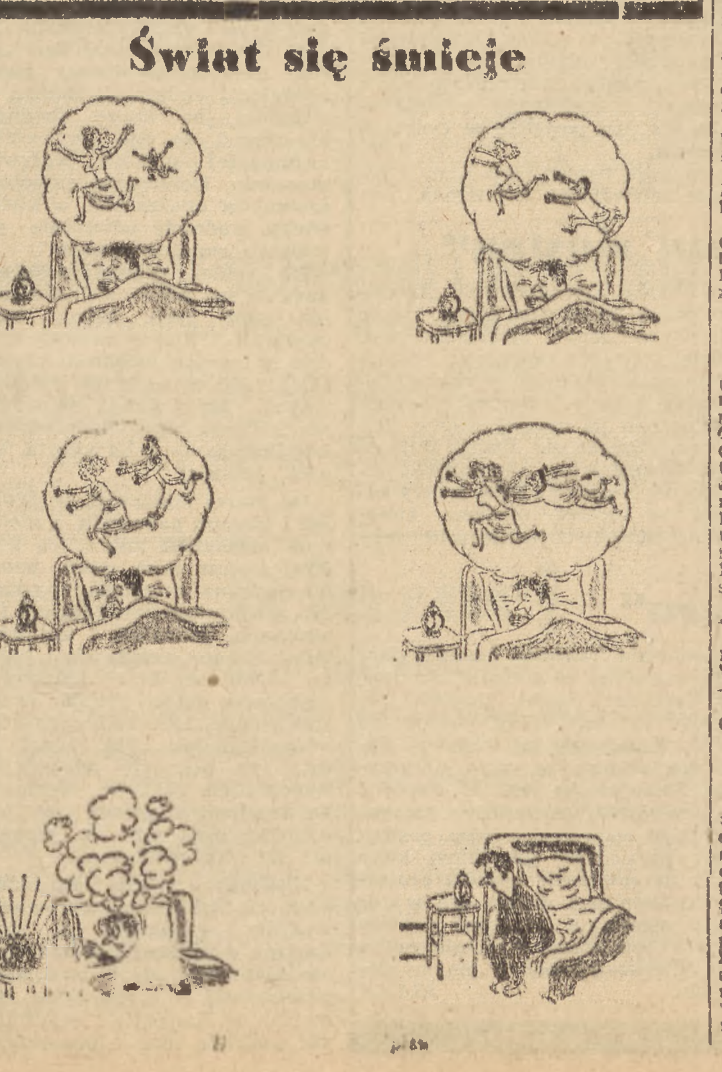
W wielu miejscowościach Niemiec utrzymał się zwyczaj wbijania gwoździ trumiennych do drzwi domostw, w celu chronienia się od „wszelkiego zła". Na odwrót znowu w innych okolicach wbijano „wrogom" takie gwoździe do drzwi, by sprowadzić na ich domostwa różne „klęski". Grabarze mieli złote czasy. Prowadzili oni na szeroką skalę handel gwoździami od trumien.

Wysoce charakterystyczne jest, że wszelkie te zwyczaje i zabobony zupełnie niezależnie powstały nie tylko wśród narodów europejskich, lecz i wśród dzikich szczepów afrykańskich. W całym szeregu miejscowości w Afryce, m. in. w Kongo, obserwować można różne fetysze, obite od stóp do głów gwoździmi, które dla czarnych mają moc „uzdrawiania""... (y)

Nowoczesna stacja telefoniczna

Fabryka BEF w Rydze montuje obecnie najnowocześniejszego typu stację telefoniczną, której plany opracowane zostały przez konstruktorów leningradzkich i ryskich. Stacja ta pozwoli abonentom na bezpośrednie uzyskanie międzynarodowego połączenia przez zwykłe przekręcenie tarczy, jak w komunikacji wewnętrznej. Nowa stacja jest już na ukończeniu i wkrótce zostanie oddana do użytku publicznego.

Świat się śmieje



Rozrywki UMYSŁOWE

57 Konkurs Rozrywkowy i Autorski Część VII i ostatnia

Prosimy Czytelników o nadsyłanie odpowiedzi przed dniem 17 września 1948 r., gdyż w dniu tym redakcja przystąpi do ostatecznego rozstrzygnięcia Konkursu. Załączony kupon służy do głosowania na trzy najlepsze zagadki Konkursu. Rozwiązania z części niniejszej bez kuponu nie będą brane pod uwagę.

28. LITERACKA KRZYŻÓWKA SZKIELETOWA — 3 pkt.
(ul. E. Jaszczyszyn)

W kwadrat 11x11 wpisać słowa według podanych poniżej znaczeń i rozmieścić symetrycznie ułożone pola czarne. Rysunek jest symetryczny do obu osi i środka symetrii.

Znaczenie wyrazów.

Pionowo: 1. powieść M. Rodziewicz, 2. utwór dramatyczny C. Norwida, 3. autor popularnego opowiadania dla dzieci, 4. laureat literackiej nagrody Nobla za r. 1946 8. autor pamiętników z XVII w., 9. dramaturg i poeta norweski, 11. współczesny poeta polski, 12. tytuł powieści dla młodzieży E. Amicisa, 13. historyk niemiecki, autor dzieła „Papieże Rzymscy", 14. poeta włoski (wspak).

Poziomo: 5. tytuł powieści Brzozowskiego, 6. autor „Dziejów kościoła katolickiego", 7. część Trylogii, 9. wybitny liryk niemiecki (l — j), 10. powieściopisarz niemiecki, 12. polski autor „Nafty", 15. poeta i powieściopisarz współczesny polski, 16. tytuł powieści Sinclaira 17. współczesny nowelista i felietonista polski, 18. tytuł powieści B. Prusa (wspak).

29. SZKOŁA POWSZECHNA Nr. 2 — 1 pkt.
(ul. Teka)

Kierowniczka szkoły powszechnej Nr. 2 otrzymuje zapomogę po tyle złotych na każdego ucznia ile ma uczniów. Układając budżet na rok przyszły stwierdziła że musi mieć 3.000 zł. zapomogi więcej, niż w roku bieżącym. O ilu musi się zwiększyć liczba uczniów? (ogólna liczba uczniów nie przekracza 200).

30. CZY POTRAFISZ? — 1 pkt.

Czy potrafisz Czytelniku luby wymienić przynajmniej cztery konstelacje Zodiaku, podając możliwie nazwy łacińskie i polskie?

• • •

Termin nadsyłania rozwiązań powyższych zadań upływa dn. 17 września 1948 r. Odpowiedzi prosimy nadsyłać na kartkach wymiaru karty pocztowej czyli A 6 (10,5 x 1,8 cm). Podanie słów pomocniczych obowiązuje.

KUPON DO GŁOSOWANIA

Najlepszymi zagadkami 57 Konkursu Rozrywkowego były:

1. .... (numer) .... (nazwa)
2. .... (numer) .... (nazwa)
3. .... (numer) .... (nazwa)

Nazwisko głosującego:

Adres:

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NUMERU 28 „ŚWIAT I ŻYCIE".

5. Rebus: Dobrymi chęciami piekło brukowane.

6. Podwójna ciągówka: MO: murawa, korso, silnik, ara, Koran okaz, SAP, barok, opat, etola, nora, krab, arak, Ra, koa, talon, arkada, lama MO O-M: om, ama, lada, kran, o, lasso, kark, ara, bar, karo, nalot, etap, oko, rab, pas, zakon, ar, Oka, rekin, lis, os, ro, kawa, rum.

7. Bracia: Czyn ludu nie piosenka.

8. Czy potrafisz? 1. mauzoleum w Halikarnasie, 2. piramida Cheopsa, 3. latarnia morska w Aleksandrii, 4. posąg Apolla na wyspie Rodos, 5. wiszące ogrody Semiramidy w Babilonie 6. posąg Jowisza na Olimpie, 7. świątynia Diany w Efezie.

KĄCIK SZACHOWY

Napoleońska partia

Znane jest zainteresowanie „królewską grą" ludzi, którzy odegrali ważną rolę w historii, rozgrywając „partie" dziejowego znaczenia. Posuwali wówczas na szachownicy historycznej poszczególnymi, pozostającymi na ich służbie figurami i całymi armiami pionków. Niejedna z tych figur i tysiące pieszkównie wróciły nigdy już więcej na arenę życia. Oto partia, rozegrana w r. 1820 na wyspie św. Heleny między Napoleonem I i towarzyszącym mu na wygnaniu generałem Bertrand'em.

Białe: Napoleon I.
Czarne: Bertrand.

NIEREGULARNA

1. Sg1 — f3	e7 — e5 (1)
2. e2 — e4	Sb8 — c6
3. d2 — d4	Sc6 x d4
4. Sf3 x d4	e5 x d4
5. Df1 — c4	Gf8 — c5
6 c2 — c3	Hd8 — e7? (2)
7 0 — 0	He7 — e5? (3)
8. f2 — f4	d4 x c3 +
9 Kg1 — h1	c3 x b2
10 Gc4 x f7	Ke8 — d8
11. f4 x e5	b2 x a1 H (4)
12. Gf7 x g8	Gc5 — e7 (5)
13. Hd1 — b3	a7 — a5? (6)
14. Wf1 — f8 + f7	Ge7 x f8
15. Gc1 — g5 +	Gf8 — e7
16. Gg5 x e7 +	Kd8 x e7
17. Hb3 — f7 +	Ke7 — d6
18. Hf7 — f3 + m	mat.

(1) Gambitowa ta obrona czarnych nie jest dzisiaj zupełnie stosowana. Możliwe, że stosowano ją przed 130 laty, albo też partner Napoleona robił eksperymenty, względnie popełnił omyłkę. W często dzisiaj grywanym otwarciu Rati — Zuckertort następuje 1. — d7 — d5.

(2) Widocznie przeciwnik Napoleona zauważył że białe mogły w szóstym pociągnięciu zagrać Gc4 x f7 i potem Hd — h5 + z odbiciem figury. Obecnie lepsze było d6.

(3) Hetman czarnych zanadto się angażuje. Należało grać: d4 x c3.

(4) Materialnie czarne są silniejsze o wieżę i piona, pozycyjnie stoją znacznie gorzej.

(5) Czarne nie odbijają figury wobec spodziewanej odpowiedzi białych: Hd1 — d5.

(6) Czarne nie widzą zbliżającej się katastrofy; trzeba było hetmanem bić piona e5.

(7) Teraz mógł Napoleon zapowiedzieć swemu przeciwnikowi mata w 5-tym posunięciu. Może i zrobił to, lecz historia o tym milczy. (Mógł też zdobyć hetmana ruchem Gc1 — b2).

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z POPRZEDNIEGO NR.

1. Końcówka: 1. Ge7 + ... g3 2. Gd8 (grozi mat na g3), Hf2 3. Ge7 i nie ma ratunku przed matem w następnym względnie 5-tym posunięciu. Czarne mają do dyspozycji posunięcia g4 lub dowolne hetmanem. W tym wypadku następuje Gd8 + i po ewentualnej przesłonie hetmanem mat. W drugim matuje g3 pionem lub gońcem. Zaś na 3. — — Hf4 następuje 4. g3 — g3 + i w następnym ruchu mat. — Ciekawa Kapitulacja hetmana przed 3 ruszy słabszym gońcem.

Trzychodówka J. A. Ruska: 1. Ce5 — e1 Sf2 2. 2. Gc3 dowol.

3. Gg7 mat. Albo 1. — — — c6 2. g5 + K h5 3. g3 — g4 mat. Albo 1 — — — Wh4 2. G x h4, dowol. 3. Gg5 mat. — Trzy gry o matach wzorcowych.

(1. Gh4 złudne wobec c5 2. G x c3. Gd6).

Kronika zagraniczna

Rozpoczynający się wkrótce w Iki turniej międzystrefowy w Saltsjobaden zapowiada się na pierwszorzędną sensację szachową tak pod względem ilości uczestników (20) jako też ich doboru. W szczególności interesujący będzie wynik walki wybitnych arcymistrzów (z pochodzenia Europejczyków) zamieszkałych od początku wojny w Argentynie ze znanymi szachistami ZSRR o których Botwinik powiedział że śmiało mogliby wziąć udział w niedawno ukończonym turnieju o mistrzostwo świata.

Sz. Ach.

Kulisy emigracji do Argentyny

Śladami skazańców i niewolników

Na giełdzie imperializmów poruszenie. Oto międzynarodowi handlarze towarem emigranckim skierowali swą uwagę na obozy uchodźców wojennych w zachodniej Europie. Czekali kolonialnych panuje wielkie oni na tę gratkę blisko czterdzieści lat. Na stutysięczne tłumy wyrwane ze swych pieleszy, zdemoralizowane, nie orientujące się w zdarzeniach i przemianach powojennych łatwo jest zarzucić niewód...



Widok powstającego osiedla w Argentynie

Rekiny dalekomorskich szlaków posiadają wszak doświadczenie, nabrane podczas czterowiekowej praktyki kolonizacyjnej. Do rozbudowania swych zamorskich posiadłości konkwistadorzy dochodzili drogą, na której można z łatwością zauważyć trzy etapy:

1. Okres podbojów. — Zdobywca wytępiał ogniem i mieczem ludność tubylczą, aby oczyścić teren z tzw. „elementu nieproduktywnego“.

2. Okres plantacji. — Spadkobierca i dziedzic krwawych tytułów własności zaprowadzał na zawojowanych obszarach gospodarkę kolonialną, opierając ją na niewolniczym robotniku murzyńskim, upolowanym w Afryce oraz na więźniu-skazańcu, wyrzuconym z ojczystego kraju na zesłanie.

3. Okres najemstwa. — Półtorej setki lat temu, w miarę rozwoju komunikacji, dwory królewskie pospołu z bogaczami świata, przetapiającymi nagromadzone skarby w nowoczesny kapitał, zaczęły przychodzić do przekonania, że wielowiekowy system niewoli oraz fizycznego przymusu bankrutuje nieodwołalnie i nawet w zamorskich włościach jest już nie do utrzymania. Kolonie przekształciły się w republiki; skazańca i niewolnika zastąpił wolny najmita, emigrant. Stworzono chwilowe pozory swobód.

Zaopatrywanie dzierżaw plantatorskich w odpowiedni materiał ludzki było kosztowne i wymagało licznej obsługi. Dla wyłapywania Murzynów w puszczach „czarnego lądu“ trzeba było utrzymywać specjalne kompanie łowców, do przewożenia „żywego towaru“ przez Atlantyk, należało rozporządzać wielką flotą statków. Na miejscu zaś, jakże tu obyć się bez policji leśnej, bez pręgierza i karnych komisji, aby niewolnika utrzymać w ryzach? Drogi był hebanowy jeniec. Byle murzyniak kosztował tyle, co dwie i trzy pary pociągowych wołów.

Emigrant był tańszy, stanowczo tańszy. Przychodził darmo. Na jego wychowanie łożył stary kraj. Ameryka otrzymywała go, gdy był jeszcze w pełni sił. Zarówno jednak niewolnik jak i dobrowolny emigrant mieli wadę: trzeba ich było przyjmować bez wyboru. W miarę zaludniania pustkowi, element pokonkwistadorski zaczął się w sprowadzonej masie dopatrywać niebezpieczeństwa, usunął ją w zakamarki, przezwał gettem, a ostatnio uznał za „wrzód rasowy“. Od Alaski po Chile i Australię przymknięto bramy wstępu, wobec Murzyna zastosowano zwyczaj lynchu, dla emigranta ukuto umyślne ograniczenia oraz ustawy nacjonalizacyjne.



Jedna z rzek przepływających przez argentyńską prowincję Entre-Rios

Świat pracy w Ameryce Południowej sposobił się do boju z plantatorsko - fabrykanckim wszechwładztwem i wstecznictwem. Wspomniana na wstępie giełda z siedzibą w Londynie pośpieszyła jednak z nieoczekiwaną pomocą dla tutejszej reakcji. Posypały się zza morza depesze: „Oferujemy wam nowego, bezwzględnie zaufanego emigranta, jakim jest uchodźca wojenny. Materiał troskliwie wyselekcjonowany, z politycznymi gwarancjami. Nic was nie będzie kosztował; do waszych portów dostarczymy go z funduszów demobilizacyjnych i planu Marshalla. Nadaje się do „zatomizowania“ starej, niewynarodowionej jeszcze osadniczej emigracji. Rodzin jak najmniej, bo mamy dowód z przeszłości, że one to właśnie najtrudniej ulegają wpływowi otoczenia. Dobieramy samotnych osobników obojga płci, w kwiecie wieku. Podajcie odwrotnie stan waszego zapotrzebowania“.

Do takiej roboty pokątnych naganiaczy zabrał się w Londynie sztab tych, którzy wojnę przegrali i którzy pragną uchodzić w oczach polsko-amerykańskich osad w Ameryce Południowej za „rząd polski na wygnaniu“. W oku łezka dla wywołania współczucia — ręka skryta, a w niej... powróz.

Od starej emigracji, w drugim już i trzecim pokoleniu, z nielicznym odsetkiem takich, co Stary Kraj jeszcze jako tako pomną, nie podobna wymagać, aby się w lot orientowała, co tam w tych saganach, garnkach i kotłach u babci Europy gotuje się i bulgoce. „Londyńczyków“ byliśmy tu z początku gotowi przyjąć ze zrozumieniem ich twardego emigranckiego losu. Ot, będzie nas tutaj za oceanem większa siła. Zapomnijcie co było, weźcie się do uczciwej pionierki, jak nasi ojcowie; nam nikt nie pomagał, ale my wam pomożemy.

Niedługo, a spadła nam łuska z oczu. Z łaski pobankrutowanych wodzów i w nagrodę za Monte Cassino wysłużeni weterani mają oto ujeżdżać muły w pampasach, parobkować u niemieckich farmerów w Kanadzie, ochotniczki zaś podzielą łoża z pomurzyniałymi potomkami konkwistadorów, aby cerę ich latorośli pobielić. To jedna część zadania. Druga jest w nas wymierzona: przybysze powinni rozbić zawartość dawnego osadnictwa, cisnąć w nie żagwie kłótni i odwieść je od Ojczyzny, rzekomo „podrabianej“.

Bagienko emigracyjne przenosi się w pampasy! Na dowód załączam prospekt o sprzedaży byłych żołnierzy, który pojawił się w jednym z tygodników polskich w Buenos Aires. Podaję ważniejsze szczegóły, dotyczące firmy handlującej weteranami:

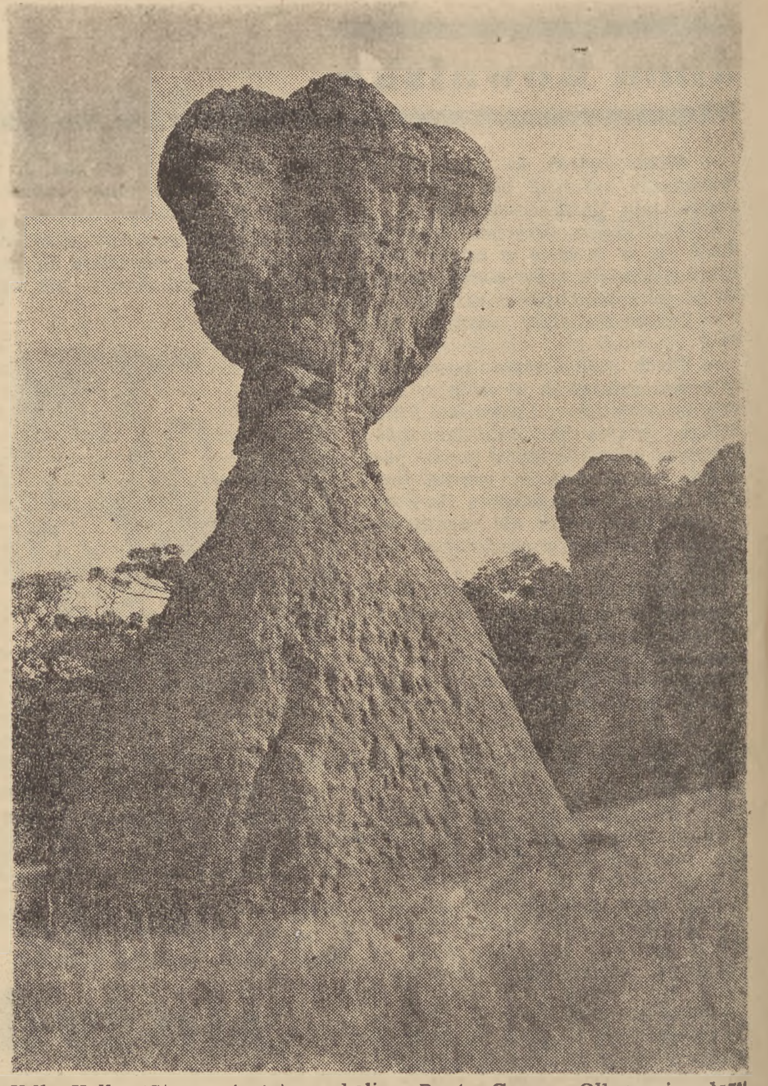
Nazwa przedsiębiorstwa: „Caritas Polska w Argentynie“.

Siedziba: miasto Santa Fe, stolica prowincji argentyńskiej o tej samej nazwie.

Kierownik oddziału: ks. Józef Paprocki, prezes argentyńskiej Caritas.

Przedmiot handlu: trzystu żołnierzy uchodźców, którzy mają być osiedleni na roli, w sąsiedniej prowincji Entre Rios (dolne międzyrzecze Parany i Urugwaju razem z deltą).

Caritas, to tyle, co dobroczynność. Wejdźmy więc w szczegóły „samarytańskiego okólnika“.



Villa Velha (Stare miasto) w okolicy Ponto Grosso. Olbrzymie głazy przypominają z daleka namioty indyjskie

Czternaście wskazań liczy górnolotna zapowiedź argentyńskiego „raju“, lecz gdy ją na język zwykłego emigranta przełożyć, da się ona streścić w trzech zasadniczych punktach:

1) Kandydat na „caritasowego“ osadnika winien przywieźć z sobą pięć tys. dolarów. Tymi, którzy mają mniej, polsko-argentyńscy opiekunowie nie interesują się. Cóż to więc za dobrodziejstwo i dla kogo? Dla żołnierzy, czy też raczej dla Argentyny, która pragnie zagarnąć półtora miliona uchodźczych dolarów?

2) Pobrzeża Parany w Entre Rios, w szczególności zaś okrzyczana delta, to bagna, topiele i moczary z chmurami malarycznych komarów i nagminną febrą. Zwabianie własnych, nieświadomych rzeczy rodaków w trzęsawiska, z których ucieka Włoch, Hiszpan i tubylec jest opieką czy oszustwem?

3) Ściągniętym w te grzęzawiska kolonistom nie wolno tworzyć własnych, większych skupień. Będą oni rozbici i zmieszani z osadnikami innych narodowości. Rząd Perona nie życzy sobie polskich towarzystw, polskich szkółek. Zależy mu na jak najszybszym wynarodowieniu sprowadzonych Europejczyków, gdyż za jankesowskim wezwaniem „Ameryka dla Amerykanów“ również i Buenos Aires płynie po mętnych wodach „argentyńskiej Argentyny“.

Luty Chobot.



Panorama wodospadu

EKRAN

Prezentujemy dzisiaj trzy filmy o dużej rozbieżności tematycznej. Nic dziwnego — powstały one w zupełnie odmiennych warunkach i są wykładnikiem bardzo różnorakich osiągnięć filmowych.



Sugestywna twarz E. Samojłowa z radzieckiego filmu „Chłopiec z przedmieścia“

„Chłopiec z przedmieścia“

Pierwszy z nich, to obraz produkcji radzieckiej, p. t. „Chłopiec z przedmieścia“. Film ten, w którym rolę tytułową gra znany artysta radziecki E. Samojłow, obrazuje pełne pasji twórczej i maniackiej niemal zawziętości życie konstruktora lotniczej broni pokładowej. Reżyser trafnie tu uchwycił główny motyw psychiczny kierujący bohaterem — żelazną wolę osiągnięcia za wszelką cenę zwycięstwa. Te „ceny zwycięstwa“, to pasmo wyrzeczeń, zawodów, krótkotrwałych triumfów, bezsenne noce nad rysownicą i długie lata prób. Podczas jednej z nich świetnie uchwycono moment przetransponowania pewnego automatycznego ruchu na pomysł uzupełniający ostatnie ogniwo w opracowanej konstrukcji. Pomysł ten powstaje w cyrku (!) podczas walki dwóch clownów na arenie.

Tego rodzaju niespodzianki urozmaicają bardzo treść filmu i pozwalają konstruktorowi na osiągnięcie ostatecznego zwycięstwa.

„Lekkomyślna siostra“

Drugi z tych filmów pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. „Lekkomyślna siostra“ mimo nie obowiązującego tytułu jest bardzo udaną komedią muzyczną z cyklu „Ich stu i ona jedna“. Trzeba przyznać, że reżyser Koster wyzyskał doskonale wszystkie momenty dające możność przeżyć artystycznych, nie wpadając ani razu w szarżę. Całość stoi na pograniczu między groteską i melodramatem, nie opowiadając się (na szczęście) ani po jednej ani po drugiej stronie. Salwy śmiechu wywołuje doskonały aktor amerykański Jimmy Durante w roli muzykalnego reżysera, aktora, akompaniatora i kierownika artystycznego t. zw. kabaretu „Pod złotym kogutem“. Film kończy kapitalna w zbiorowym komizmie scena w operze, podczas której wszystkie perypetie bohaterów znajdują szczęśliwe rozwiązanie przy wtórze muzyki Mendelssohna.

„Bolero“

Zupełnie odmiennego typu jest doskonała francuska komedia „Bolero“. Doskonałość jej polega przede wszystkim na trafnym sfotografowaniu bardzo interesującej sztuki teatralnej Michel Duran'a. Reżyser Jean Buhler nie próbował bowiem stworzyć filmu opartego na sztuce, ale po prostu starał się jedynie odegrać całą jej fabułę w warunkach kinowych. Jest to niewątpliwie ciekawa koncepcja, nie przynosząca bynajmniej ujmy Buhlerowi. Sama sztuka jest tak ciekawa, że najzupełniej wystarczyło podać ją w filmie przejrzyście i po prostu, wszelkie filmowe okrasy mogły tylko zaciemnić bardzo pogmatwaną i pełną niespodzianek fabułę. Widzieliśmy już filmy, które doskonale przekładały wymowę sceny na spojrzenie aparatu projekcyjnego „Pygmalion“, „Kleopatra“, czy „Romeo i Julia“, ale w filmach tych reżyser z reguły wzbogacał, względnie rozszerzał niektóre elementy przerabianej sztuki, zgodnie z potrzebami wynikającymi z filmowej koncepcji reżyserskiej. Jan Buhler poszedł w innym kierunku uzyskując bardzo ciekawe wyniki.

ALLAN

Ciekawostki filatelistyczne

100-lecie sławnych „Maurycjuszy“

Znane w całym światku filatelistycznym pierwsze znaczki wyspy Mauritius na Oceanie Indyjskim obchodziły niedawno swe setne „urodziny“. Oto krótka historia tych cennych znaczków.



Przed stu laty naczelnik poczty wysepki należącej do Anglii Mauritius postanowił dorównać wyspie macierzystej przez wydanie własnych znaczków pocztowych. Ponieważ nie posiadał on do swej dyspozycji grawera, wykonanie płyty drukarskiej zlecił jedynemu na wyspie zegarmistrzowi i złotnikowi, Johnowi Barnardowi. Złotnik ów uprościł sobie pracę tak, że w rezultacie znaczek Mauritiusa jest po prostu kopią będącego wówczas w obiegu znaczka angielskiego wartości 1 pensa. Obok napisu MAURITIUS Barnard dodał po bokach dla uzyskania symetrii zamiast „Port paid“ (porto zapłacone) słowa „Post Office“ (urząd pocztowy). Pomyłki nikt nie zauważył i po mozolnym wykonaniu przez Barnarda narzędziami zegarmistrzowskimi miedziorytu, odbito na prymitywnej ręcznej prasie kilkaset sztuk znaczka.

Do chwili obecnej pozostało „przy życiu“, zresztą w bardzo miernym stanie, zaledwie 24 sztuki tych znaczków (wartości 1 i 2 pensów). Dwie najlepiej zachowane sztuki znajdują się w zbiorze króla angielskiego Jerzego VI, stanowiąc jego najcenniejsze znaczki.

Pewien angielski filatelista znalazł na starym liście przed niedawnym czasem dalszy okaz znaczka wartości 1 pensa. W ten sposób ilość istniejących na całym świecie egzemplarzy znaczków tej wartości podniosła się do 14 (w tym 12 sztuk używanych). Nie są to jednak najdroższe znaczki na świecie. Prym pod tym względem dzierży 1 centowy znaczek brytyjskiej Guyany.

Ostatnie nowości

W Brazylii odbywa się obecnie międzynarodowa wystawa filatelistyczna. Z tej okazji poczta w Szwajcarii wydała bloczek okolicznościowy składający się z dwóch znaczków, a mian. 10 Rp. w kolorze lila i 20 Rp. w kolorze szarym. Cena sprzedażna bloczku wynosi 3 sfr. Dopłata 2,70 sfr. przeznaczona jest na pokrycie kosztów wystawy oraz na cele popierania filatelistyki. Druk wykonała jak zwykle bardzo starannie znana drukarnia Courvoisier.

Ostrygi — lekarstwem

Najnowsze badania naukowe dowodzą, że ostrygi zawierają w sobie nie tylko wiele składników odżywczych, lecz również leczniczych. W ostrygach znajduje się bowiem pokaźna ilość żelaza (zapobiegającego anemii i jej komplikacjom), proteiny i kilka odmian witamin, a zwłaszcza witaminy C, potrzebnej do prawidłowego działania gruczołów tarczycowych. Dla rekonwalescentów potrzebujących dobrego odżywiania i cierpiących na niedokrwistość ostrygi stanowią znakomity środek leczniczy, wzmacniający cały organizm.

Nic więc dziwnego, iż w wielu krajach prowadzi się obecnie pod nadzorem władz państwowych zakrojoną na szeroką skalę hodowlę ostryg. Hodowla prowadzona jest jednak ściśle według wydanych specjalnie w związku z tym przepisów sanitarnych. Ostrygi muszą być hodowane w wodzie pozbawionej wszelkiego rodzaju nieczystości, a przede wszystkim śmieci i odpadków z mieszkań ludzkich. (cz)